

**NIE
ZNAJOMI**

URSULA POZNANSKI • ARNO STROBEL

NIE ZNAJOMI

Przełożyli Anna i Miłosz Urbanowie

MANDO 

Originally published under the title *FREMD*

© 2015 by Rowohlt Verlag GmbH, Reinbek bei Hamburg, Germany
Copyright for this edition © Wydawnictwo WAM, 2018

Opieka redakcyjna: Agnieszka Ćwieląg-Pieculewicz

Redakcja: Magdalena Mnikowska

Korekta: Katarzyna Onderka

Projekt okładki: Mariusz Banachowicz

Zdjęcie na okładce: © Markus Gann/Shutterstock, © FoodAndPhoto/Shutterstock

Skład: Lucyna Sterczewska

ISBN 978-83-277-2037-5

WYDAWNICTWO WAM

ul. Kopernika 26 • 31-501 Kraków

tel. 12 62 93 200 • faks 12 42 95 003

e-mail: wam@wydawnictwowam.pl

DZIAŁ HANDLOWY

tel. 12 62 93 254-255 • faks 12 62 93 496

e-mail: handel@wydawnictwowam.pl

KSIĘGARNIA WYSYŁKOWA

tel. 12 62 93 260

www.wydawnictwowam.pl

Druk: ABEDIK • Poznań

Publikację wydrukowano na papierze iBOOK Extra 65 g vol. 2.o
dostarczonym przez IGEPa Polska Sp. z o.o.

1

Światło przed drzwiami wejściowymi zauważam tylko przez przypadek. Akurat suszę włosy i zatrzymuję wzrok na oknie w łazience. Na zewnątrz świeci się lampa, która powinna być wyłączona.

Ktoś musiał aktywować czujnik ruchu, choć nikogo się nie spodziewam. I za diabła nie otworzę, jeśli rozlegnie się dzwonek. Nie jestem przeciwniczką niezapowiedzianych odwiedzin, ale ostatnią rzeczą, na jaką mam dzisiaj ochotę, jest wizyta Eli z dwiema butelkami czerwonego wina i godzinnym monologiem o tym, jak to tym razem już naprawdę zostawi Richarda.

Nie. Dziś sama musi poradzić sobie ze swoim nieudanym małżeństwem. Choć też możliwe, że przed drzwiami czekają świadkowie Jehowy.

Przełączam suszarkę na wyższy bieg, żeby nie musieć potem kłamać, że nie słyszałam dzwonka. Staram się to ignorować, ale czuję się coraz bardziej nieswojo. Czasem włamywacze przed włamaniem dzwonią do drzwi, żeby się upewnić, że nikogo nie ma w domu. Tak w każdym razie słyszałam, bo zbyt krótko mieszkam w Niemczech, aby wiedzieć, czy to się często zdarza. Opanowałam wprawdzie język, ale jeśli chodzi o codzienne życie, wciąż jeszcze czuję się obco.

Mimo to kojarzenie niewinnego dzwonka do drzwi z zagrożeniem jest raczej głupie.

Rany, przecież to zupełnie nie w moim stylu.

Chwilę później lampa przed wejściem znów gaśnie.

Wyłączam suszarkę, odsuwam odrobinę zasłonkę w oknie łazienki i wyglądam na zewnątrz. Pusto. Nie widzę ani gości, ani nikogo, kto chciałby włamać drzwi czy okno.

Tata własnoręcznie by mnie udusił, gdyby wiedział, że mieszkam sama w niezabezpieczonym domu – wokół naszej rodzinnej rezydencji w Melbourne zamontowano więcej kamer niż przy Pentagonie. Ale to tylko kolejny powód, dlaczego się cieszę, że stamtąd wyjechałam.

Mijają minuty. Jest spokojnie. Powoli się odprężam. Napięcie ustępuje miejsca radości. Cieszę się, bo nic już nie zakłóci spokojnego wieczoru na kanapie. Cudownie. Filiżanka herbaty, ciepły koc i dobra książka to wszystko, na co mam dziś ochotę – choć nie odmówiłabym, gdyby znalazł się ktoś, kto wymasowałby mi plecy. Nie mam pojęcia, skąd wzięło się napięcie między łopatkami.

Herbata waniliowa. Już sama myśl o niej działa rozgrzewająco. Wkładam płaszcz kąpielowy, otwieram drzwi na korytarz i ruszam schodami na parter. Nieruchomieję w połowie drogi.

Coś... jakiś hałas. Brzęk. W domu, w środku. Nie na zewnątrz. Ktoś wybił szybę? Nie, na to było zbyt cicho.

Natychmiast wraca uczucie spięcia, tyle że z dwukrotnie większą siłą. Zaciskam dłonie na poręczy, nabieram głęboko powietrza i próbuję wziąć się w garść. Schodzę jeszcze dwa stopnie. Przecież to głupie, tłumaczę sobie. Włamywacze robiliby znacznie więcej hałasu. Zabieraliby wszystko jak leci, żeby jak najszybciej uciec...

Znów jakiś dźwięk. Tym razem nie brzęk, a skrobanie. Jakby ktoś otworzył i zamknął szufladę.

W pierwszym odruchu chcę zawrócić. Uciec do sypialni i wezwać policję. Schować się.

Przewyciężam instynkt i nigdzie się nie ruszam, bo nagle zdaję sobie sprawę, że takie rozwiązanie jest poza moim zasięgiem: prawie rozładowaną komórkę zostawiłam w kuchni. Położyłam ją obok ekspresu do kawy, na widoku, żeby nie zapomnieć jej naładować.

Tyle że dokładnie stamtąd, z kuchni albo salonu, dochodzą hałasy.

Kolejne dwa stopnie w dół. Tak, drzwi do salonu są uchylone i przez szparę widzę światło.

Nabieram głęboko powietrza, żeby pokonać strach, stanowczo zbyt silny jak na tę sytuację. W salonie jest włączona lampa, ale to do cholery nic zaskakującego. Co rusz wychodząc, zapominam wyłączyć światło. Dlatego to nie powód do paniki. Poza tym mam przed sobą drzwi wejściowe; jeśli będzie trzeba, wystarczy mi pięć sekund, żeby wypaść na zewnątrz i zacząć wzywać pomocy. W płaszczu kąpielowym czy bez.

Wstrzymuję oddech. Nasłuchuję skupiona. W domu znów panuje cisza. A może się pomyliłam? Może tylko mi się zdawało, że coś słyszę? Rozum twierdzi, że to prawdopodobne, lecz dziko walące serce jest innego zdania. A jeśli czegoś naprawdę nie lubię, to niepewności.

Na komodzie w korytarzu leży przycisk do papieru, który dostałam od Eli kilka tygodni wcześniej. Ma kształt sześcianu, jest z niebieskiego szkła i waży dobre dwa kilogramy. Podnoszę go. Nie zwracam uwagi na ulotkę, która spływa na podłogę, i powoli, bardzo powoli otwieram drzwi do salonu.

Nic. Pusto. Przynajmniej tutaj. Nic się nie zmieniło, drzwi na taras są zamknięte, szyby całe, wszystko dokładnie tak, jak zostawiłam, wychodząc.

Jeśli zaś chodzi o kuchnię, nie jestem pewna, bo nie widzę jej ze swojego miejsca i nie pali się w niej światło.

Przycisk do papieru prawie wyslizguje mi się spomiędzy spoconych palców; chwytam go mocniej i robię krok przed siebie. Bezgłośnie. Kolejny. Zatrzymuję się pośrodku pomieszczenia.

W chwili, kiedy zaczynam myśleć, że się wygłupiłam, z ciemnej kuchni wynurza się ciemna postać.

Cichnę w pół krzyku, jakby niespodziewanie zabrakło mi powietrza. Martwieję.

„Uciekaj!” – to jedyna myśl, która wypełnia moją głowę, lecz nie potrafię zmusić się do działania. Nogi odmawiają mi posłuszeństwa.

W świetle lampy sufitowej dostrzegam mężczyznę. Ma ciemne włosy i szerokie ramiona. Widzę, że coś mówi, że porusza ustami, ale nie słyszę ani jednego słowa. Wszystkie odgłosy docierają do mnie jakby z bardzo daleka. I tylko bicie mojego serca jest przerażająco bliskie i głośnie. Szok? Czy tak wygląda szok?

Mężczyzna znów coś mówi, ale mam wrażenie, że nagle zapomniałam niemieckiego. Przez chwilę pokój wiruje wokół mnie. Byle tylko nie upaść.

Nieznamy przekrzywia głowę; waha się. W końcu rusza w moją stronę. „Co za głupota!” – słyszę w głowie. „Co za głupota! Dlaczego nie zostałeś na górze?”

Otrząsam się dopiero, kiedy jest tak blisko, że czuję zapach jego wody po goleniu. Odskakuję, jednak nie w stronę drzwi, tylko ściany. Chcę skręcić, ale jest już za późno. Prawie mnie dogonił.

– Wynoś się! – wrzeszczę. Mam nadzieję, że się przynajmniej zatrzyma. Ku mojemu zaskoczeniu rzeczywiście nieruchomieje. – Niech się pan wynosi albo wezwę policję! – Jeśli krzyknę jeszcze trochę głośniejsze, może usłyszą mnie sąsiedzi.

Włamywacz rzuciłby się do ucieczki, lecz ten intruz nie zamierza tego robić. W końcu dociera do mnie, że nie przyszedł tutaj, żeby mnie okraść. Żaden złodziej nie wkłada koszuli i garnitur, kiedy włamuje się do czyjegoś domu. To oznacza, że ma inny cel... Ta myśl budzi we mnie zupełnie nowy strach. Cofam się jeszcze kawałek. Czuję, że wpadam plecami na lampę, która upada na podłogę. Niewiele brakuje, a sama prawie tracę równowagę.

– Błagam – szepczę. – Błagam, niech mnie pan zostawi w spokoju!

Dzieli nas może pięć kroków. Ani na chwilę nie spuszcza ze mnie wzroku.

– Rany boskie – mówi. – O co ci chodzi?

Kolejny krok w moją stronę. Kulę się, jakby to mogło mi pomóc. Chcę zapaść się w siebie, zniknąć.

– Nie mam w domu pieniędzy, ale oddam panu wszystko, co mam, dobrze? Niech pan weźmie, co chce... Tylko proszę... niech mi pan nie robi krzywdy...

– To ma być zabawne? – pyta i unosi otwarte dłonie. Puste. – Żle się czujesz? Mam wezwać pogotowie?

Nie idzie dalej. To najważniejsze. Powoli się prostuję. Przycisk do papieru. Może to dobra okazja, żeby go użyć.

– Proszę, niech pan sobie pójdzie. Przysięgam, że nie wezwę policji. Mruga, nabiera głęboko powietrza i wypuszcza je ze świstem.

– Co to ma znaczyć? Dlaczego tak do mnie mówisz?

Mam szansę, jeśli to znak, że się waha. Wciągnę go w rozmowę. To dobry pomysł. I przy pierwszej okazji spróbuję mu uciec.

– Bo... bo się boję...

– Mnie?!

– Tak. Bardzo mnie pan wystraszył.

Rozkłada szeroko ramiona i rusza w moją stronę.

– Joanno...

To moje imię. Cofam się. Zna moje imię. Może to stalker, a może wchodząc, zauważył w korytarzu kopertę z moim nazwiskiem.

Przyglądam mu się uważnie. Niebieskie oczy, gęste brwi. Wyraziste rysy twarzy, na którą w innych okolicznościach pewnie popatrzyłabym z zainteresowaniem. Nie wygląda agresywnie ani groźnie, a mimo to jego obecność przepelnia mnie przerażeniem, którego nie potrafię sobie wytłumaczyć.

Opieram się plecami o ścianę. Jestem w pułapce. Serce wali mi jak szalone. Unoszę przycisk do papieru.

– Wynoś się stąd.

Spogląda to na szklany sześcian, to na moją twarz. Potem opuszcza wzrok, a ja przypominam sobie, że mam na sobie płaszcz kąpielowy, który rozchylił się nieco za mocno.

– Joanno, nie mam pojęcia, o co ci chodzi, ale proszę, przestań!

– Niech mnie pan zostawi w spokoju! – Staram się brzmieć zdecydowanie, ale ponoszę klęskę. – I niech pan przestanie udawać, że się znamy!

Podoba mu się mój strach, bo robi kolejny krok w moją stronę. Przyciśnięta do ściany przesuwam się w lewo, w stronę drzwi.

– Skończ wreszcie, przecież oczywiście, że się znamy. – W jego głosie pojawia się zniecierpliwienie. Jeszcze nie złość, ale czuję, że to się może szybko zmienić. Dwa metry dzielą mnie od drzwi. Dam radę, muszę dać radę.

– Musiał się pan pomylić. Naprawdę. – Każdym zdaniem zyskuję trochę czasu. – Skąd niby mielibyśmy się znać?

Powoli kręci głową.

– Albo robisz mi jakiś głupi dowcip, albo powinienem zawieźć cię jak najszybciej do szpitala. – Dłonią przeczesuje włosy. – Jesteśmy zaręczeni, Jo. Mieszkamy tu razem.

Wpatruję się w niego i milczę. Zupełnie się tego nie spodziewałam. Jestem tak zaskoczona, że potrzebuję kilku sekund, by odzyskać głos.

Jesteśmy zaręczeni.

Czyli nie tylko stalker, a znacznie gorzej. Wariat. Ktoś, kto wierzy w swoje szaleńcze wizje. I cierpi na urojenia.

Tylko jak to się stało, że trafił akurat na mnie?

Nieważne. Z szaleńcem nie da się rozmawiać. Do takich jak on nie docierają żadne argumenty. Co gorsza, w każdej chwili może mu się zmienić nastrój. Teraz jest spokojny, ale kto wie, czy jedno niewłaściwe słowo nie wywoła ataku agresji. Przecież włamał się do domu zupełnie obcej osoby.

Widzę tylko jedno wyjście i nie waham się już ani chwili.

Przycisk do papieru zatacza błękitny łuk, kiedy ciskam nim w nieznajomego. Celuję w głowę, lecz on w ostatniej chwili się zasłania i pocisk trafia go w ramię. Dobre i to. Wybiegam z salonu, przecinam

korytarz, dopadam schodów na piętro i kryję się w sypialni. Zatrzas-
kuję za sobą drzwi i dwukrotnie przekręcam klucz w zamku.

Potem osuwam się na podłogę. Oparta plecami o drzwi spoglądam
na łóżko. Jedna poduszka. Jedna kołdra. Nic więcej. Łóżko samotnie
mieszkającej kobiety. Jeśli jest umyślowo chory, na to pewnie też znaj-
dzie wytłumaczenie. Powie na przykład, że ostatnio spał na kanapie.

Na korytarzu panuje cisza. Zamykam na chwilę oczy. Jestem bez-
pieczna. Mam nadzieję.

Oczywiście, że się znamy – powiedział intruz z mrozącą krew
w żyłach oczywistością w głosie. Przeszukuję wszystkie wspomnienia,
ale go nie kojarzę. Może pojawił się u mnie w studio? Może to któryś
z klientów?

Nie, niemożliwe. Nigdy nie zapominam twarzy, które foto-
grafowałam.

Gwałtowny dźwięk każe mi podskoczyć. Głośne trzaśnięcie
drzwiami.

Nasłuchuję skupiona. W domu panuje cisza. Może trafienie przy-
ciskiem do papieru skłoniło włamywacza do ucieczki?

Siedzę z zamkniętymi oczyma i wstrzymuję oddech. Nadzieja
pryska niecałą minutę później, bo na schodach rozlegają się kroki,
ciężkie i powolne.

Wchodzi na piętro. Wiem, że już nie będzie przyjazny.

A ja nie mam telefonu, żeby wezwać pomocy.

2

Kakadu zniknęła.

Jej brak zauważyłem właściwie natychmiast, ledwie wysiadłem z samochodu i uruchomiło się oświetlenie zewnętrzne domu. To był prezent, który podarowałem Joannie na urodziny. Kakadu miała mniej więcej osiemdziesiąt centymetrów wysokości i była zespawana z metalowych elementów. Symbol jej ojczyzny. Opowiedziała mi kiedyś, że Melbourne jest pełne kakadu.

Mijam puste miejsce obok rododendronów i zastanawiam się, co się z nią stało. Otwieram drzwi i wchodzę do domu. W korytarzu panuje ciemność, jednak z góry dociera przytłumiony szum. Suszarka do włosów. Joanna. Przyjemne ciepło wypełnia mi pierś, zastępując uczucie zdziwienia zniknięciem kakadu.

Ruszam korytarzem. Światło ulicznych latarni z trudem przebijają się przez wąskie naświetle drzwi wejściowych. Jest słabe, jednak wystarczające, żebym w ciemności widział, dokąd idę. Otwieram drzwi do salonu. Jest rozświetlony, tak samo jak kuchnia. Nie mogę powstrzymać uśmiechu. Cała Joanna. Kiedy jest sama, w domu robi iluminację. Ku ucieście dostawców prądu.

Rzucam klucze na przedłużeniu blatu kuchennego. Chybiam. Upadają kilka centymetrów i dzwoniąc metalicznie, lądują na wyłożonej płytkami podłodze. Przez zmęczenie trudno mi się skupić. Na pewno nie pomaga też ciężki dzień, który mam za sobą. Przesrany dzień. Zupełnie jakby wszyscy w firmie dążyli do konfrontacji.

Wzdycham, podnoszę klucze i odkładam je tam, gdzie chciałem trafić.

W lodówce stoi butelka białego wina, którą otworzyliśmy wczoraj wieczorem. Nie mam ochoty na alkohol, jeszcze nie. Może potem, z Joanną, kiedy usiądziemy na kanapie i będziemy się przytulać.

Sięgam po stojący obok niej karton soku pomarańczowego. Jest prawie pusty. Żałosne resztki żółtego płynu przelewam do szklanki.

Szuflada, w której znajduje się pojemnik na zużyte opakowania, stawia opór i przy otwieraniu i zamykaniu słychać głośne tarcie. Pewnie poluzowała się jedna ze śrub prowadnic. W weekend się tym zajmę.

Ruszam w stronę salonu i po drodze wyłączam światło. Nagle przypominam sobie, że mam prawie rozładowany telefon. Wracam więc do kuchni, podłączam wtyczkę ładowarki i odkładam słuchawkę na sięgającej mi do pasa szafce tuż przy przejściu. Odwracam się i podskakuję ze strachu. Pośrodku salonu stoi Joanna. Nie słyszałem, kiedy zeszła z góry. Na jej widok znów ogarnia mnie to ciepłe, przyjemne uczucie. Momentalnie opuszcza mnie zmęczenie i zapominam o kłopotach.

Chyba jeszcze mnie nie zauważyła. Wykorzystuję zaskoczenie i wychodzę z ciemnej kuchni. Ma na sobie płaszcz kąpielowy. Luźno zawiązany, miękki materiał rozchyła się delikatnie i widzę część jej drobnych, jędrnych piersi. Do wypełniającego mnie ciepła dołącza inne uczucie i momentalnie czuję się tak, jakby ktoś mnie przyłapał na podglądaniu.

Wyłaniam się z ciemności i idę w jej stronę. Słyszy kroki, patrzy na mnie i... zamiera. Radosne powitanie utyka mi w gardle.

Gorączkowo staram się znaleźć jakiegokolwiek wyjaśnienie przerażenia, które widzę na jej twarzy.

– Cześć, kochanie – mówię ostrożnie. – Coś się stało? Źle się czujesz? Dlaczego tak na mnie patrzysz?

Joanna nie reaguje. Stoi i patrzy na mnie tak, jakbym odezwał się do niej w jakimś obcym języku. Nigdy jeszcze nie widziałem jej

w takim stanie. Mój Boże, wygląda, jakby się panicznie bała. Kiedy to do mnie dociera, ja też zaczynam odczuwać strach. Coś musiało się wydarzyć, i to coś bardzo niedobrego.

– Kochanie? – zaczynam od początku, tak delikatnie jak tylko potrafię. Ostrożnie ruszam w jej stronę, tylko jeden krok na początek, i zatrzymuję się. Gdybym wyciągnął rękę, mógłbym jej dotknąć. Niespodziewanie otrząsa się z pierwszego przerażenia i zaczyna się cofać, ani na chwilę nie odwracając ode mnie szeroko otwartych oczu. Jeden krok, potem następny...

– Kochanie, proszę... – szepczę mimowolnie. Znów próbuję bardzo delikatnie zmniejszyć dzielący nas dystans. Nagle zmienia się wyraz jej twarzy.

– Wynos się! – wrzeszczy z taką agresją, że zatrzymuję się zaskoczony. – Niech się pan wynosi albo wezwę policję!

Pan? *Niech się pan wynosi?* Co to, do cholery, ma znaczyć? Co się z nią dzieje? Zachowuje się jak całkowicie obca osoba. Tysiące myśli naraz wiruje mi w głowie. Nie mogę ich uporządkować.

Narkotyki, alkohol, napad, szok... może śmierć kogoś bliskiego? Joanna robi jeszcze jeden krok w tył, wpada plecami na lampę i ją przewraca. Przy akompaniamencie głośnego brzęku klosz roztrzaskuje się o podłogę.

– Błagam – szepce. – Błagam, niech mnie pan zostawi w spokoju! Z trudem panuję nad emocjami.

– Rany boskie – wyduszam z siebie spokojnym głosem. – O co ci chodzi?

Kuli się. Chowa głowę w ramiona.

– Nie mam w domu pieniędzy. – Jej głos jest pełen strachu. Dziecinny głosik. – Ale oddam panu wszystko, co mam, dobrze? Niech pan weźmie, co chce... Tylko proszę... niech mi pan nie robi krzywdy...

Czuję, że mimo zagubienia i dezorientacji przez chwilę narasta we mnie złość.

– To ma być zabawne? – pytam ostrzej, niż zamierzałem, i szybko unoszę otwarte dłonie, żeby widziała, że nic jej z mojej strony nie grozi. – Źle się czujesz? Mam wezwać pogotowie?

Joanna kręci głową.

– Proszę, niech pan sobie pójdzie. Przysięgam, że nie wezwę policji.

W pierwszej chwili chcę chwycić ją za ramiona, potrząsnąć nią i krzyknąć, żeby przestała się wygłupiać, ale powstrzymuję ten odruch. Chcę, żeby znów była sobą. Ale muszę zachować spokój. Przynajmniej ja muszę trzeźwo myśleć, to w tej chwili bardzo ważne. Oddycham głęboko i patrzę jej prosto w oczy.

– Co to ma znaczyć? Dlaczego tak do mnie mówisz?

– Bo... bo się boję... – odpowiada z wahaniem.

– Mnie?!

– Tak. Bardzo mnie pan wystraszył.

Rozkłada szeroko ramiona i rusza w moją stronę.

– Joanno...

Jej spojrzenie zmienia się w dziwny sposób, kiedy wypowiadam jej imię. Zupełnie jakby próbowała odczytać z mojej twarzy, co mam na myśli.

– Wynoś się stąd.

Słyszę, jak bardzo stara się mówić pewnym siebie tonem, jednak wyraźnie nie daje sobie z tym rady. Unosi lekko rękę. Dopiero teraz widzę, że coś w niej trzyma. Staram się rozpoznać, co to takiego. Już wiem. Przycisk do papieru. Zabrała go z korytarza. Cała sytuacja robi się coraz bardziej irracjonalna.

– Joanno... – Patrzę jej głęboko w oczy i staram się przekazać spojrzeniem, że jej strach przede mną jest nieuzasadniony. – Nie mam pojęcia, o co ci chodzi, ale proszę, przestań!

– Niech mnie pan zostawi w spokoju! – odpowiada jak małe, uparte dziecko. – I niech pan przestanie udawać, że się znamy!

Nie, to po prostu nie może być prawda. Powoli zaczynam się bać, że Joanna postradała zmysły.

Robię kolejny, ostrożny krok w jej stronę, choć nie mam pojęcia, jak powinienem zareagować na tak dziwną sytuację. Muszę się pilnować, żeby zachować spokój.

– Skończ wreszcie, przecież oczywiście, że się znamy.

Joanna kręci głową.

– Musiał się pan pomylić. Naprawdę. Skąd niby mielibyśmy się znać? Niech to szlag, jak to skąd? Powoli zaczynam mieć dość.

– Albo robisz mi jakiś głupi dowcip, albo powinienem zawieźć cię jak najszybciej do szpitala. Jesteśmy zaręczeni, Jo. Mieszkamy tu razem.

Jej twarz nagle się zmienia. Nie, ona nie udaje; naprawdę nie wie, kim jestem.

W następnej chwili bez ostrzeżenia podnosi rękę, bierze zamach i ciska czymś we mnie. Odruchowo odwracam się bokiem, jednak nie dość szybko. Szklany sześcian trafia mnie w ramię. Ból przeszywa mi cały tors, jest niczym eksplozja fajerwerków. Słyszę swój własny jęk. Robi mi się niedobrze i jednocześnie czuję mocne kopnięcie w rzepekę. Noga się poddaje i upadam na kolano. Joanna mija mnie pędem. Jest jak ciemna plama cienia, która w następnej chwili znika mi z pola widzenia.

Ostrożnie przesuвам palcami po ramieniu.

Dotychczas sądziłem, że dobrze znam Joannę. Teraz jednak wydaje mi się zupełnie obca, jakby w jej ciele zamieszkała kobieta, której nigdy nie spotkałem.

Ból ramienia słabnie bardzo powoli. Podpieram się o podłogę i wstaję. Salon wiruje mi przed oczyma. Stawiam dwa, trzy ostrożne kroki, aż docieram do fotela, o który mogę się oprzeć. Zatrzymuję spojrzenie na otwartych drzwiach salonu. Dokąd pobiegła? Czy uciekła na dwór? Może właśnie wzywa policję.

Jest chora, to nie ulega wątpliwości. Może od zawsze miała jakiś problem? Może dobrze o tym wiedziała, tylko nie chciała mi powiedzieć? Może... Tak, może dotychczas nie poznałem prawdziwej Joanny. Nie, to nie może być prawda. Nie może. Prostuję się i spoglądam na siebie. Nie mam już zawrotów głowy i znów pewnie stoję na nogach.

Czy powinienem zadzwonić na policję? Bez sensu, w jaki sposób mieliby mi pomóc? Przecież nie doszło do włamania. Moja narzeczona straciła rozum i zamiast gliniarza potrzebny byłby jej raczej lekarz. Najlepiej psychiatra. W zasadzie mógłbym zadzwonić na pogotowie. Gdyby ratownicy zobaczyli ją w takim stanie, karetka odwiozłaby ją pewnie bezpośrednio do jakiegoś psychiatryka. Tylko że jeśli wprawi się tę maszynę w ruch... na dodatek Joanna ma jedynie czasowe pozwolenie na pobyt. Nie, muszę jeszcze raz spróbować i z nią porozmawiać. Nie mam pojęcia, co się wydarzyło, może jest po prostu strasznie zdezorientowana? Nieważne z jakiego powodu.

Unoszę ramię i włączam światło w korytarzu. Ból przesywa mi bark, w który trafił szklany przycisk do papieru. Wstrzymuję na chwilę powietrze i rozglądam się. Drzwi wejściowe są zamknięte. Gdyby Joanna wybiegła na dwór, albo zostawiłaby je otwarte, albo zatrzasnęłaby je w pędzie, żeby nie marnować czasu. A to musiałbym usłyszeć.

Najprawdopodobniej została w domu. Ruszam w stronę schodów, zatrzymuję się i spoglądam w górę. Nieruchomieję zaskoczony. Coś się tu nie zgadza. Wyraźnie to czuję. Odwracam się i przesuwam wzrokiem po korytarzu. Drzwi do kuchni, obok komódka, kartki rozsypane po podłodze, garderoba... tak, garderoba! Przez chwilę mam wrażenie, jakbym dostał cios w żołądek. Moje rzeczy. Zniknęły. Tam, gdzie wcześniej wisiały moje dwie kurtki, widzę tylko puste haczyki. A poniżej, na regale... jej buty sportowe, trzy pary codziennego obuwia w różnych kolorach... i tyle. Wszystkie należą do niej. Co się tu, do diabła, dzieje?

Zmuszam się do działania. Muszę ustalić, o co tu chodzi. Bez wahania podchodzę do drzwi wejściowych, otwieram je i wyglądam na zewnątrz. Na dworze panuje spokój. Drzwi się zatrząskują, słyszę szcęk sprężyny. Na wszelki wypadek blokuję zamek, tak jest bezpieczniej. Potem szybkim krokiem wracam do schodów i wbiegam na górę. Celowo poruszam się dość głośno – Joanna powinna wiedzieć, że się zbliżam. Chciałbym w końcu zrozumieć, co się tu dzieje.

Rzut oka do łazienki: pusto. Z ponurą determinacją podchodzę do sypialni, kładę dłoń na klamce i naciskam. Zamknięte. Rozumiem.

– Joanno! – mówię bez wahania i zdecydowanie. Bez złości, jednak z naciskiem, żeby wiedziała, że nie żartuję. – Joanno, skończ, proszę, z tą błazenadą. Otwórz drzwi, żebyśmy mogli porozmawiać. Do cholery jasnej, nic ci przecież nie zrobię!

Cisza. Czekam. Dziesięć sekund. Piętnaście... nic.

– Joanno, zastanów się, proszę. Czy gdybym rzeczywiście chciał cię skrzywdzić, ten żaloszny zameczek mógłby mnie powstrzymać? Serio tak uważasz? Jedno kopnięcie i całość leci w drzazgi! Ale nie chcę niszczyć drzwi, bo to są przecież moje drzwi! Rozumiesz? Mieszkamy tu razem. I jeśli ci się wydaje, że to nieprawda, to musimy... zaraz... Joanno! Czy ty mnie w ogóle słyszysz?

Dopiero teraz sobie uświadamiam, jak strasznie szybko mówię. Zawsze tak robię, kiedy mam w głowie jakąś myśl, którą koniecznie chcę się podzielić.

– Mam pomysł, Jo. Słyszysz mnie? Zadaj mi pytanie. Zapytaj o cokolwiek. O coś, co tylko ja mogę wiedzieć. O coś, co musiałbym wiedzieć, gdybyśmy rzeczywiście byli parą i razem mieszkali. Dobrze? Wtedy się przekonasz. No śmiało, wymyśl jakieś pytanie i je zadaj. Obojętnie jakie.

Znów zapada cisza i przez chwilę nic się nie dzieje. W końcu słyszę jakiś ruch. Blisko, w sypialni. Trzask zamka. Klamka powoli się opuszcza. Drzwi uchylają się odrobinę. Bogu dzięki!

Joanna stoi nieco z boku i mierzy mnie przestraszonym wzrokiem. Wciąż trzyma dłoń na klamce. Przesuwam wzrok i zaglądam do środka, do naszej sypialni. Lodowata obręcz ściska mi serce. I po raz pierwszy przychodzi mi do głowy, że może to nie Joanna straciła rozum. Może to ja.

Moja kołdra, moja poduszka... moja szafka nocna...
Zniknęły.

3

Wszystko, dosłownie wszystko zrobiłam nie tak, jak powinnam. Teraz, kiedy ten nieznamy mężczyzna szarpie za klamkę, w końcu do mnie dociera, że popełniałam błąd za błędem.

Ślepa uliczka. Jestem w pułapce. Dlaczego schowałam się w tym pokoju, zamiast uciec na zewnątrz? Może chodziło o to, że sypialnię kojarzę z bezpieczeństwem? No to mam. Siedzę tu teraz, zamknięta i osaczona. Nie ma stąd wyjścia ewakuacyjnego, tylko okno.

– Joanno!

Zamykam oczy i przyciskam pięści do powiek. „Odejdź stąd” – myślę. Proszę, odejdź i zostaw mnie w spokoju.

– Joanno, skończ, proszę, z tą błazenadą. Otwórz drzwi, żebyśmy mogli porozmawiać. Do cholery jasnej, nic ci przecież nie zrobię!

No racja. Przecież jesteś narzeczeństwem.

Zbiera mi się na śmiech. Jeśli poddam się hysterii, nie zdołam się uspokoić. Oddycham głęboko i wbijam paznokcie w skórę zacisniętych dłoni, by ból pozwolił mi odzyskać panowanie nad sobą.

Czy cokolwiek wiem o ludziach z urojeniami? Nie, raczej nic. Chyba tylko tyle, że należy przyznawać im rację, by ich nie denerwować. Wydaje mi się, że taką radę kiedyś słyszałam.

– Joanno, zastanów się, proszę. Czy gdybym rzeczywiście chciał cię skrzywdzić, ten żaloszny zameczek mógłby mnie powstrzymać? Serio tak uważasz? Jedno kopnięcie i całość leci w drzazgi!

Natychmiast odskakuję od drzwi. Mężczyzna na korytarzu mówi dalej i opowiada, że to przecież też jego drzwi i dlatego nie chce ich niszczyć. Ale ja doskonale wiem, że jeśli nie otworzę, prędzej czy później i tak je rozwalą.

Rozglądam się gorączkowo w poszukiwaniu jakiejś broni. Czegoś ciężkiego. Tym razem będę musiała go trafić. Muszę go jakoś unieszkodliwić. Problem polega na tym, że nie znajduję niczego odpowiedniego do tego celu. Musiałabym chyba zdemontować rurę, na której zawieszono są zasłony, jednak na to mam zbyt mało czasu.

– Mam pomysł, Jo. Słyszysz mnie? Zadaj mi pytanie. Zapytaj o cokolwiek. O coś, co tylko ja mogę wiedzieć. O coś, co musiałabym wiedzieć, gdybyśmy rzeczywiście byli parą i razem mieszkali.

Muszę odzyskać swoją komórkę. Albo wybiec na ulicę. Jednak nie osiągnę ani jednego, ani drugiego celu bez otwierania drzwi. I bez wzięcia na siebie ryzyka, które to z sobą niesie.

Robi mi się niedobrze.

– Dobrze? Wtedy się przekonasz. No śmiało, wymyśl jakieś pytanie i je zadaj. Obojętnie jakie.

W głosie mężczyzny na korytarzu słyszę nadzieję.

Musi być obolały. Przycisk do papieru dosięgnął celu, a rzucałam najsilniej, jak potrafiłam. To powinno dać mi jakieś szanse w starciu.

Okej. Jeśli już, to od razu. Dokładnie tak, jak odrywa się plaster ze skóry. Przekręcam klucz, otwieram drzwi i w tej samej chwili uświadamiam sobie, że nawet się nie ubrałam. Jak idiotka stoję przed nim w płaszczu kąpielowym.

Patrzy na mnie przez chwilę i się uśmiecha, a potem podnosi wzrok i zagląda do sypialni. Wyraz radości znika z jego twarzy jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki i ustępuje miejsca... bezgranicznemu zdziwieniu. I niedowierzaniu.

Kto wie, co on tam widzi i jakie obrazy podsuwa mu chora wyobraźnia. Nie mogę wykluczyć, że jest też pod wpływem narkotyków.

Okazja jest zbyt dobra, żeby stchórzyć i ją zmarnować. Wymykam się przez drzwi, przeciskam obok niego i pędzę w kierunku schodów, już prawie jestem, już...

Udaje mi się zrobić dosłownie dwa kroki, zanim chwyta mnie za ramię.

– Zostań. – W jego głosie słyszę raczej prośbę niż groźbę, jednak mimo to nie czuję, żeby ucisk jego palców zelżał. – Porozmawiajmy spokojnie, dobrze? Proszę.

Jeszcze raz staram mu się wyrwać. Gdyby tylko udało mi się dotrzeć do komórki i zamknąć się z nią w toalecie...

Nie mam z nim żadnych szans, mimo że uderzone ramię wyraźnie sprawia mu ból. Wciąga mnie z powrotem do sypialni, zamyka drzwi i opiera się o nie.

Strach wraca ze zdwojoną siłą. Mogłabym spróbować otworzyć okno i zacząć wzywać pomocy. Tak, od tego powinnam była zacząć, a nie otwierać drzwi.

Nieznajomy ani na chwilę nie spuszcza ze mnie wzroku. Powoli kręci głową i widzę, że drży mu oddech.

- Naprawdę mnie nie poznajesz, prawda?
- Nie. Naprawdę pana nie znam.

Wybuch krótkim, chrapliwym śmiechem, który w ogóle nie wzbudza wesołości.

– W takim razie pewnie też nie masz pojęcia, co się stało z moimi rzeczami?

Słucham? Jakimi jego rzeczami?

Zagubienie i bezradność muszą mieć chyba wypisane na twarzy, bo nieznajomy wskazuje palcem na łóżko.

– Moja kołdra. Moja poduszka. Jeszcze rano tu były. Nie wspominając o szafie z ubraniami. Albo o butach i kurtkach w garderobie na dole.

Rusza w moją stronę, lecz zatrzymuje się, bo widzi, że się cofam.

– Rozumiem, że jeśli wejdę do łazienki, nie znajdę tam swojej szczoteczki do zębów, tak? Ani wody po goleniu? Żelu pod prysznic też nie?

Musiał powołać do życia kompletny alternatywny świat ze wszystkimi szczegółami. Życie, które nie istnieje.

A co by się stało, gdybym zagrała na jego warunkach? Co by było, gdybym zaczęła udawać, że stopniowo coraz więcej sobie przypominam? Czy nie było za późno, żeby mi uwierzył?

Spoglądam mu prosto w oczy, choć kusi mnie, by odwrócić wzrok. Ma w sobie coś, co sprawia, że żałuję braku noża w zasięgu ręki. Takiego, którym mogłabym go dźgnąć. Raz za razem.

O Boże, co mi w ogóle przychodzi do głowy!

Przyciskam obie dłonie do czoła, a pragnienie, by przemocą wyrwać się z tej sytuacji, znika.

– Obawiam się, że jest pan w błędzie. Od samego początku, odkąd wynajęłam ten dom, mieszkam w nim sama. Nie ma i nigdy nie było drugiej poduszki ani drugiej kołdry. A już tym bardziej wody po goleniu w łazience.

– No cholera jasna, Joanno... – Nieznajomy próbuje się uśmiechnąć. – Co ja mam teraz z tobą zrobić?

Słyszając tak zadane pytanie, znów zaczynam się cofać. Nic nie ma ze mną robić, absolutnie nic. Najlepiej niech sobie idzie.

– Myślę, że pana wcześniejsza propozycja była całkiem dobra. – Głos drży mi nieco. – Zrobimy tak, jak pan chciał. Zadam panu kilka pytań, na które tylko pan znałby odpowiedź, gdyby pan tu naprawdę mieszkał. I gdyby znał mnie pan tak dobrze, jak pan twierdzi.

Mężczyzna potakuje i się rozgląda. Przesuwa wzrokiem po łóżku, ścianach i podłodze. W końcu na powrót skupia się na mnie.

– W porządku. – Przywołuję wspomnienia w poszukiwaniu czegoś, czego nawet najbystrzejszy stalker by się nie dowiedział. Informacji, których próżno by szukać na moim Facebooku czy na mojej stronie internetowej.

Stres jest jednak na tyle duży, że do głowy przychodzą mi tylko jakieś banały, nic, co dałoby jednoznaczne rozstrzygnięcie. Nic, czym mógłby mnie przekonać, że rzeczywiście się znamy.

Dlatego zaczynam od czegoś prostego. Stare przyzwyczajenia.

– Na pewno zdążył się pan zorientować, czym się zajmuję zawodowo.

– Jesteś fotografką – odpowiada powoli, ale bez wahania. – Jesteś na stażu u Manuela Helfricha, bo podziwiasz jego prace. Po to, między innymi, przyjechałaś do Niemiec. Twoje zdjęcia są cudowne, szczególnie uwielbiam portrety twojego autorstwa. Bardzo często mnie fotografowałaś...

Chcę mu przerwać i coś dodać, ale nie dopuszcza mnie do słowa.

– Jedno z moich zdjęć wyjątkowo ci się spodobało – mówi. – Oprawiłaś je i jeszcze dziś rano wisiało dokładnie tutaj.

Wskazuje na ścianę nad komodą.

– Po pierwsze to kompletna bzdura, a po drugie nie o to pytałam! – Jeszcze zanim kończę zdanie, dociera do mnie, że to bardzo nieostrożne. To, że dotychczas mnie nie skrzywdził, nie oznacza jeszcze, że zaraz tego nie zrobi. Wkurzanie go to bardzo zły pomysł.

– Przepraszam – mamroczę. – Chciałabym zadać kolejne pytanie.

Potakuje i gestem daje znać, że mam mówić dalej.

– Czasem pracuję z ludźmi, których to stresuje i nie czują się dobrze przed obiektywem. W takim wypadku przed rozpoczęciem sesji włączam im pewną piosenkę. Zawsze tę samą. Jaką?

Otwiera usta, jakby chciał coś powiedzieć, ale zaraz je zamyka.

– Nie wiem. Byłem u ciebie w studio kilka razy, ale kiedy tylko pojawiali się klienci, kazałaś mi wyjść. Osoby niezaangażowane są w czasie sesji równie przydatne co trzecia osoba na randce, to twoje słowa.

Czuję coraz silniejszy skurcz żołądka. Nie zna mojej piosenki – niczego innego się nie spodziewałam – a jednak to, co powiedział, wyjątkowo do mnie pasuje. W zasadzie wiernie zacytował moje słowa.

Tyle że to jeszcze nic nie znaczy.

Kolejne pytanie. Szybko.

– Jak mam na drugie imię?

Jeśli mnie zna, to powinien umieć odpowiedzieć. Kiedy nawiązuję nowe znajomości, przy trzeciej albo czwartej lampce wina zawsze proszę o odgadnięcie mojego drugiego imienia, więc też musiałyby przez to przejść. Nigdy by nie zgadł, bo nikomu się jeszcze nie udało. Zawsze sama muszę je zdradzić. Za każdym razem.

Nieznajomy odwraca głowę, jakby nie mógł uwierzyć, że zapytałam go właśnie o to. Przez chwilę mam wrażenie, że zaraz wybuchnie śmiechem, lecz kiedy zaczyna mówić, ledwie go słyszę.

– Nie zdradziłaś mi tego. Jeszcze nie. Chciałaś, żebym sam je odgadł, ale dotąd nie dałem sobie z tym rady.

Mam sucho w ustach i wiele bym oddała za łyk wody. Nieznajomy znów nie odpowiedział na moje pytanie, lecz to, co powiedział, jest bardzo bliskie prawdy.

Chciałaś, żebym sam je odgadł.

Informacji na mój temat musiał szukać nie tylko w Internecie. Możliwe, że od jakiegoś czasu mnie śledził i rozmawiał z ludźmi, którzy mnie znają. Od nich musiał się dowiedzieć, jakie mam przyzwyczajenia, co lubię i czym się brzydzę...

Cały czas stoi w drzwiach i blokuje mi drogę. Jego spojrzenie wędruje po mojej twarzy, jakby czegoś szukał.

– Jeszcze jedno pytanie – mówi. – Zapytaj o coś innego, coś, co wiąże się z tobą, z tym, co robiłaś wcześniej, z tym domem i naszym wspólnym życiem.

– Zadałam już panu dwa pytania i na żadne nie potrafił pan właściwie odpowiedzieć.

Zrozpaczony zamyka oczy.

– Proszę – mówi. – I przestań się tak do mnie zwracać. Nie mów do mnie per pan. Nawet nie potrafisz sobie wyobrazić, jakie

to... – Nagle przerywa i unosi powieki. – Nie wiesz nawet, jak mam na imię, prawda?

Splatam ramiona na piersi.

– Nie, bo i skąd miałabym to wiedzieć?

Z niedowierzaniem kręci głową.

– To... niemożliwe. Nic nie rozumiem.

– Bardzo mi przykro. Ale może dla odmiany teraz to ja będę zgadywała?

Męczyczna w drzwiach niespodziewanie sprawia wrażenie bardzo poruszonego i przez chwilę mam nadzieję, że odzyskam kontrolę nad sytuacją. Przynajmniej na tyle, żeby móc uciec z tego pokoju.

Kiedy dociera do niego moja propozycja, w jego oczach pojawia się pełen nadziei błysk.

– Tak! Świetny pomysł! Może twoja podświadomość zachowała wszystkie informacje, a jeśli tak, na pewno uda się nam odtworzyć całą resztę. – Rusza w moją stronę. – Dobrze, powiedz, proszę, pierwsze męskie imię, jakie ci przyjdzie do głowy – prosi, jakby zagrzewał mnie do boju. – Nie zastanawiaj się, mów.

Postępuję zgodnie z tym, czego ode mnie chce, i sama jestem zaskoczona, jak jednoznaczne jest pierwsze skojarzenie.

– Ben.

Chybiony. Widzę to wyraźnie po jego twarzy. W każdej innej sytuacji jego rozczarowanie wzbudziłoby pewnie moje współczucie. Teraz jednak daje mi przewagę, którą muszę wykorzystać.

– Dobra, w takim razie nie Ben. Zadam panu... przepraszam... zadam ci teraz jeszcze jedno pytanie, dobrze? Ale ostatnie, zgoda?

Potakuje zrezygnowany i robi to w taki sposób, jakby już wiedział, że sobie nie poradzi.

– Tam, na ścianie, nad szafą... o, tam, widzisz? Tę małą okrągłą dziurkę?

Nie, oczywiście, że jej nie widzi, bo i jak ma ją zobaczyć z miejsca, w którym stoi. Przywołuję go dłonią, choć bardzo niedobrze się z tym czuję.

– O, tamta dziurka, dokładnie. Skąd się tam wzięła?

Odsuwam się kawałek, żeby mu zrobić miejsce. Krok w kierunku drzwi, potem jeszcze jeden. Chcę być już na zewnątrz, kiedy się zorientuje, że tam nie ma żadnej dziury. Staram się tak zwiększyć dystans, żeby nie mógł mnie dogonić.

– Przecież tam nigdy nie było... – zaczyna mówić, a ja w tym samym momencie otwieram drzwi i wybiegam na korytarz. Dopadam schodów, przeskakuję po dwa stopnie naraz i modłę się w myślach, żeby nie upaść.

– Joanno!

Oczywiście rusza za mną, ale jestem zbyt szybka. Docieram już do parteru, do drzwi...

...zamkniętych drzwi.

Moje klucze wiszą na haczyku, dokładnie tam, gdzie ich miejsce. Chwytam je, ale wyslizgują mi się z dłoni i z brzękiem upadają na podłogę.

– Jo! Proszę! Przecież nie możesz tak wybiec na dwór!

Podnoszę klucze i mam jeszcze trochę czasu. Za pierwszym razem trafiam do zamka, przekręcam dwukrotnie i naciskam klamkę. Chłodne wieczorne powietrze obmywa mi twarz.

A potem czuję nagłe szarpnięcie. Pociąga mnie z taką siłą, że lecę w tył i padam na podłogę. W następnej chwili słyszę trzask drzwi.

Zrywam się na równe nogi i próbuję go ominąć, jak najszybciej, dopóki nie zablokował zamka. Tyle że on znów chwyta mnie za ramię, tym razem tak mocno, że krzyczę z bólu.

– Naprawdę chcesz, żeby wszyscy zobaczyli cię w tym stanie? – wrzeszczy na mnie. – Zależy ci, żeby ktoś cię zgłosił?

Bronię się przed jego chwytem, z całych sił się wrywam, ale nie mam najmniejszych szans. Dlatego po prostu się przewracam.

Tego się nie spodziewał. Pociągam go za sobą i pozbawiam równowagi. Niewiele brakuje, a wyładowałby na mnie. W ostatniej chwili odwraca się bokiem, ale nie puszcza mojego nadgarstka.

Dopiero teraz zauważam, że płaczę.

On też to widzi. Opiera głowę o moje czoło, jego oddech jest szybki, urywany.

– Potrzebujesz pomocy, Jo.

I ma, do cholery, rację. Jak tylko mnie puści...

– Popatrz na mnie – żąda. Sądząc po jego głosie, sam też jest już bliski łez.

Robię, co mi każe. Nasze twarze dzielą tylko centymetry i boję się, że spróbuje mnie pocałować.

– Niech mnie pan... puść mnie.

Kręci głową.

– Erik – wyrzuca z siebie. – Mam na imię Erik.

Czeka, jakby rzeczywiście wierzył, że jego imię cokolwiek mi powie.

– Erik – powtarzam powoli i czuję, że jego uścisk słabnie, jakbym wypowiedziała hasło, na które czekał.

Gwałtownym szarpnięciem uwalniam ręce, podnoszę się i próbuję go odepchnąć, lecz w następnej chwili przygniata mnie swoim ciężarem do ziemi. Na twarzy czuję gorąco jego oddechu.

– Nie rób tego, Jo. Chcę ci tylko pomóc. I pomogę ci.

Jego ostatnie słowa zagłusza głośny dźwięk. Dzwonek. Ktoś jest przed drzwiami.

4

Prawie podskakuję. Nigdy jeszcze dzwonek do drzwi nie wydawał mi się tak głośny jak teraz. Joanna też przestaje się bronić; czuję, że nieruchomieje pode mną.

Jej oczy są pełne nadziei, że przed drzwiami stanął ktoś, kto jej pomoże. Walczę z nawałem myśli. Nikogo się nie spodziewamy.

Z jakiegoś zupełnie niezrozumiałego powodu mam wyrzuty sumienia. Gorzej nawet, ogarnia mnie panika. Zupełnie jakbym naprawdę był włamywaczem albo szaleńcem.

Odsuwam od siebie tę myśl, bo to przecież głupie. Ale też nie chcę, żeby ktokolwiek widział Joannę w takim stanie. Czy mogła zadzwonić po policję?

– Pomocy! Ratunku! Na pomoc! – Jej usta są tuż obok mojego ucha. Kiedy milknie, w głowie słyszę tylko bolesne dzwonięcie.

– Zamknij się, do diabła – syczę i powstrzymuję się, żeby nie zatkać jej ust dłonią. Zaraz potem uświadamiam sobie, że albo szybko zareaguję, albo sytuacja może eskalować. Odwracam się i puszczam Joannę. Zanim udaje mi się podnieść, ona dopada drzwi, otwiera je szarpnięciem i wyskakuje na zewnątrz.

– O Boże, jak dobrze, że pan przyszedł! – krzyczy. – Zostałam napadnięta! Tam jest włamywacz!

Serce wali mi jak szalone. Skrzydło drzwi zasłania mi widok. Przesuwam się dwa kroki w bok i staję twarzą w twarz z Bernhardem Morbachem. On spogląda na mnie zdziwiony, a Joanna kryje się za jego plecami.

Bernhard jest szefem działu w Gabor Energy Engineering. Nigdy wcześniej nie odwiedził mnie w domu, ale na jego ramieniu widzę

torbę z komputerem i domyślałam się, co go skłoniło, by tu przyjechać. Że też akurat teraz! Dziś w firmie był naprawdę dziwny dzień, choć nie potrafiłbym wyjaśnić, na czym ta jego dziwność polegała. A jeśli Bernhard jutro zacznie opowiadać, co tu przeżył...

– Erik... – Bernhard odwraca się niepewnie. Joanna zaciska palce na kołnierzu płaszcza kąpielowego i zaciąga go aż pod samą szyję. Mój kolega z pracy przygląda jej się uważnie, a potem zwraca się do mnie: – Nic nie rozumiem... Co się tu dzieje?

Joanna wybałusza oczy, kiedy słyszy moje imię. Widzę jej zaskoczenie i dezorientację. Widzę, że się cofa, i zgaduję, co chce zrobić. Nie pozostawia mi innego wyboru. Mijam Bernharda, zanim zdążyła się odwrócić i rzucić do ucieczki. Od tyłu obejmuję ją ramieniem na wysokości piersi.

– Jo, błagam! – syczę jej do ucha, bo próbuję mi się wyrwać. – Musisz wrócić do środka.

– Za żadne skarby! Obaj jesteście w zмовie! Niech mnie pan puści! – Czuję, że nabiera powietrza, więc dłonią zasłaniam jej usta, zanim zacznie krzyżeć. Oglądam się pośpiesznie i widzę pełną niedowierzania minę Bernharda. Tyle że teraz nie mam czasu na wyjaśnienia.

– Wejdz, zapraszam – sapię i walcząc z wierzgającą i wyrrywającą się Joanną, wracam do domu. Czuję, że chce mnie ugryźć w dłoń, ale i tak jej nie cofam.

W końcu jesteśmy w korytarzu. Bernhard rzeczywiście idzie za nami. Puszczam Joannę, podbiegam do drzwi i szybko je zatrzaskuję. Błyskawicznie przekręcam zamek i wyjmuję klucz. Jednocześnie gdzieś z głębi domu dobiega jeszcze jedno trzaśnięcie drzwiami. Powoli się odwracam i wzdycham ciężko.

– Ona... jest tam – wydusza z siebie Bernhard i wskazuje na kuchnię. – Możesz mi wytłumaczyć, co się tu właściwie dzieje? Bo prawdę mówiąc... to jest przecież Joanna, prawda? Ta Joanna, o której tyle razy opowiadałeś?

Gestem proszę go o trochę cierpliwości.

W kuchni nikogo nie ma. Joanna albo uciekła do salonu, albo schowała się w spiżarni. Ruszam tam, kładę rękę na kłamce. Zamkniję. W swoim obłąkańczym szale wybrała jedyne pomieszczenie na parterze bez okna i tam się ukryła.

Wracam do Bernharda, który nerwowo chodzi tam i z powrotem po korytarzu.

– Zamknęła się w spiżarni – zaczynam tłumaczyć i się zatrzymuję. – Nie mam pojęcia, co się z nią dzieje, ale jest strasznie zdezorientowana. Od kiedy wróciłem do domu, zachowuje się, jakby nie wiedziała, kim jestem. Nie chcę, żeby ktoś zobaczył ją w takim stanie, więc... – przerywam i uświadamiam sobie, że moje wyjaśnienia muszą brzmieć naprawdę dziwnie. Bernhard stoi naprzeciwko i patrzy na mnie bezradnie. – Strasznie mi przykro, że poznałeś ją w takiej chwili. Ona jest zupełnie inna. Sam nie rozumiem, co się dzisiaj stało. Wiesz przecież, że jest z Australii, prawda? Niedługo powinna wracać, ale nie chce, bo myśmy się... Mnie też zależy, żeby została. Dlatego się boję, że jeśli ktoś zobaczy ją w obecnym stanie, potraktuje jak osobę chorą... i kwestia prawa pobytu bardzo się skomplikuje... rozumiesz, o co mi chodzi? Dlatego ją... dlatego nie mogłem pozwolić, żeby biegała po okolicy i krzyczała.

W końcu Bernhard zdejmuje torbę z ramienia i stawia ją na podłodze, opartą o ścianę.

– Rozumiem... – Jego mina mówi coś odwrotnego. – Miewała już wcześniej takie epizody?

– Nie. A w każdym razie ja nic o tym nie wiem. – Zaglądam do kuchni. Z mojego miejsca widzę tylko wąski kawałek drzwi spiżarni. Co ona tam robi? Jak się czuje? Siedzi na ziemi i trzęsie się ze strachu? Zastanawia się, jak uciec szaleńcowi, który włamał się do jej domu i twierdzi, że przecież mieszkają pod jednym dachem?

Odwracam się i szybkim ruchem przecieram oczy, po czym znów patrzę na Bernharda.

– Dziś rano wszystko było jeszcze w jak najlepszym porządku. Miała świetny humor, kiedy wyjeżdżałem do pracy. W trakcie dnia musiało się coś stać... coś, co spowodowało taką dezorientację. Mam nadzieję, że wszystko samo wróci do normy, bo nie mam pojęcia, co dalej. – Biorę się w garść, takie myśli na pewno nikomu nie pomogą. Spoglądam na torbę na podłodze i wskazuję na nią brodą. – Z czym do mnie przyjechałeś? Jakiś problem?

– Co? Ach tak, właśnie. Jutro z samego rana lecę do Londynu, a nie mogę znaleźć prezentacji, którą jeden z twoich chłopaków przeniósł mi ze stacji roboczej na laptopa. – Przerывa i zagląda szybko do kuchni. – Tylko że to chyba nie jest najlepszy moment... może lepiej podskoczę do Aleksa.

W sumie ma rację. Moment jest wyjątkowo niekorzystny, ale i tak za nic nie pozwolę, żeby poleciał do Aleksa opowiadać, co się u nas wyprawia.

– Nie przejmuj się – mówię i gestem zapraszam do salonu. – Chodź, spojrzę szybko, gdzie to trafiło.

Siadamy na kanapie, a ja włączam komputer. Bernhard z zainteresowaniem spogląda na wyświetlacz, jakby cokolwiek mógł począć z ekranem ładowania systemu.

– Po co lecisz do Londynu? – pytam, żeby przerwać milczenie. Bernhard się waha.

– Nic specjalnego, chodzi o taki nowy projekt. Pewnie o nim słyszałeś. – Spuszcza wzrok.

– A, projekt... no tak. Coś tam słyszałem, że niedługo rusza. Ale tylko przypadkiem. O czym pewnie wiesz. – Czuję, że znów budzi się we mnie stary gniew.

Widzę, że ten temat jest mu bardzo nie na rękę. Kiedy skupiam się na jego komputerze, Bernhard odruchowo spogląda w stronę kuchni. Szuka pretekstu, żeby skierować rozmowę na inne tory.

– W zasadzie to nie moja sprawa, ale że widziałem tę całą... sytuację, to przypomniała mi się moja koleżanka. Miała bardzo podobne objawy, które na szczęście bardzo szybko minęły. Ale też nikogo nie poznawała. Tyle że ona zrobiła się na dodatek mocno agresywna w stosunku do siebie i do innych. Przykra sprawa. Joanna też tak ma? To znaczy... powiedziałaś, że nagle przestała cię poznawać? Ale nie rzuciła się na ciebie z pięściami?

Pytanie wydaje mi się dziwne, ale też dziwne sytuacje mogą prowokować dziwne pytania. A to, co Bernhard przeżył od chwili, kiedy znalazł się pod drzwiami naszego domu, bez wątpienia można uznać za dziwne. Na dodatek sprawa nowego projektu wyraźnie wpędza go w zakłopotanie. Koniec końców mogę się tylko cieszyć, że zareagował, jak zareagował, zanim miałem szansę cokolwiek mu wytłumaczyć.

– Rzuciła czymś we mnie, ale myślę, że to była normalna reakcja i zrobiła to ze strachu. Uważa przecież, że jestem kimś obcym, kto włamał się do jej domu. To była jedyna agresywna reakcja, ale możesz mi wierzyć, że to całkowicie wystarczyło.

Bernhard potakuje.

– To przynajmniej w tym punkcie jest inaczej niż z moją znajomą. Kto wie, może jutro wszystko będzie dobrze?

– Mam nadzieję! – Zdaję sobie sprawę, że patrzę tępo na ekran laptopa i nic nie robię.

Mimo to bardzo szybko znajduję prezentację, która zginęła; jest w koszu na śmieci. Ktoś ją skasował. Mogę się założyć, że to sprawa Bernharda, ale jeśli mu to powiem, na pewno zaprzeczy. Jak zresztą większość użytkowników komputerów, kiedy coś schrzanią. Poza tym nie mogę się doczekać, kiedy sobie pójdzie, a ja będę mógł się zająć Joanną.

Przywracam plik z kosza i sprawdzam, czy się otwiera.

– O tę prezentację ci chodziło?

Bernhard klika kilka razy w różnych miejscach, przewija slajdy tam i z powrotem i w końcu z ulgą potakuje.

– Tak, chwała Bogu, to ta. Gdzie ją znalazłeś?

– W miejscu, do którego na pewno byś nie zajrzał – odpowiadam wymijająco.

Zamykam komputer i wstaję. Bernhard się waha.

– Słuchaj, może mógłbym ci jakoś pomóc? No wiesz, gdybyście potrzebowali czegoś...

– Nie, dzięki. Porozmawiam z nią w spokoju. Jestem pewien, że to przejściowe i że szybko minie. Teraz czekają ją wycieczki po urzędach i cała masa papierkowej roboty, więc nic dziwnego, że jest zestresowana.

Mam nadzieję, że Bernhard nie wsłuchuje się uważnie w to, co mówię, bo sam nie mogę uwierzyć, co właśnie powiedziałem. Zabiera komputer ze stolika, wsuwa go do torby i też wstaje.

– No dobrze. Na twoim miejscu poważnie bym się zastanowił, czy jutro iść do pracy.

Na razie nie wybiegałem myślami tak daleko w przyszłość. Ale ma rację: co będzie, jeśli stan Joanny nie poprawi się do jutra? Jeśli wciąż będzie przekonana, że mnie nie zna? Że jestem jakimś oszustem, który włamał się do jej domu?

– Zobaczymy, ale naprawdę mam nadzieję, że wszystko już będzie okej.

Odprowadzam go do drzwi. W korytarzu zatrzymuje się i zagląda do kuchni.

– Może chcesz, żebym to ja z nią porozmawiał? Jeśli ode mnie też usłyszysz, że mieszkacie tu razem, może łatwiej jej będzie w to uwierzyć?

Na pewno ma dobre zamiary, ale nie chcę, żeby w takiej sytuacji rozmawiał z nią ktokolwiek, kto jest rzeczywiście obcy. Na dodatek już wcześniej uznała, że działamy w zмовie. Nie. Jeśli ktokolwiek

miałby przywrócić Joannie wspomnienia o mnie, mogą to zrobić tylko ja.

– Dzięki, doceniam, ale mimo wszystko lepiej będzie, jeśli sam z nią porozmawiam.

Wzrusza ramionami i wychodzi.

– Jak chcesz. Powodzenia... będę trzymał kciuki.

– Dziękuję.

Czekam, aż odejdzie kilka kroków, i wracam do domu. Przez chwilę stoję w drzwiach do kuchni i wpatruję się w wejście do spiżarni. Ze środka nie dochodzi żaden dźwięk. Joanna siedzi pewnie na ziemi i nasłuchuje równie uważnie jak ja. Moja Joanna.

Podchodzę do drzwi i unoszę dłoń. Waham się. W końcu pukam ostrożnie.

– Jo? – mówię tak cicho, że pewnie nie może mnie usłyszeć. Odkasłuję i powtarzam nieco głośniej: – Jo? Proszę! Musimy porozmawiać.

5

Otacza mnie ciemność, a włącznik światła jest na zewnątrz. Za zamkniętymi drzwiami. Słyszę stamtąd głosy. Jeden należy do mężczyzny, który przedstawił się jako Erik, a drugi do człowieka, który stał i przyglądał się beczynnemu, jak jego wspólnik wlecze mnie siłą z powrotem do domu.

Rozmawiają, ale niezbyt głośno. Spodziewam się wybuchu śmiechu, porozumiewawczego i pełnego tryumfu – ale to nie nadchodzi. Ton ich przytłumionej konwersacji jest raczej poważny.

Moja kryjówka jest ciasna. I zastawiona rzeczami. Po prawej stronie wyczuwam po omacku znajomy kształt, okrągły i twardy. Konserwa. Pewnie pomidory bez skórki. Świetnie. To broń, której w razie czego mogę użyć. Dobrze się czuję, ściskając ją w dłoniach.

Przez dłuższy czas staram się usłyszeć choćby pojedyncze słowa i zrozumieć, czego dotyczy rozmowa nieznanym. W końcu się poddaję.

Erik. Mężczyzna z torbą na komputer tak go przywitał. Powiedział to bez wahania, jakby zwracał się tak do niego na co dzień. Nie był też w ogóle zdziwiony, widząc go w moim domu – jeśli cokolwiek go zaskoczyło, to raczej ja. Ja i moje zachowanie.

To oznacza, że ten... Erik musiał mu wcisnąć tę samą bajkę, którą wcześniej próbował wmówić mi. Że on tu przecież mieszka i że jesteśmy parą.

Czy w takim razie działają w zмовie? Nie wiem. Żaden pomysł nie wydaje mi się logiczny. Dudni mi w głowie i jak przez mgłę przypominam sobie, że w czasie nieudanej próby ucieczki złapał mnie i cisnął mną o ziemię.

Pamiętam przynajmniej, gdzie trzymam butelki z wodą mineralną. Gaszę pragnienie i to pomaga. Przechodzi mi ból głowy.

Nieco później słyszę trzask drzwi wejściowych. Domyślam się, że mężczyzna z laptopem wyszedł. Nie machnął nawet palcem, żeby mi pomóc.

Kulę się w swoim kącie. Zaraz skończy się chwila wytchnienia i wrócimy do jego gry. Spodziewam się, że Erik wykona następny ruch, a jednak pukanie do drzwi prawie przyprawia mnie o zawał serca.

– Jo? – Jego głos jest cichy i przenikliwy. – Jo? Proszę! Musimy porozmawiać.

Znowu to samo. Tym razem nie zamierzam mu odpowiadać. Milczę. Udamę, że mnie nie ma.

– Jo? Słyszysz mnie? – Znów puka. – Jak się czujesz? Wszystko w porządku?

„A jeśli nie wszystko w porządku? Co wtedy zrobisz, żałosny dupku?” – krzyczę w duchu.

Nie muszę długo czekać na jego reakcję. Słyszę brzęczenie i zgaduję, że ryje teraz w moich szufladach. Chwila ciszy, a potem zgrzyt metalu o metal, bardzo blisko.

Znalazł coś, czym chce wyważyć drzwi.

– Nic mi nie jest. – Odpowiadam zachrypniętym z niechęci głosem. Te cztery słowa wystarczają, żeby Erik przestał majstrować przy zamku.

– Chwała Bogu – mówi. – Przepraszam, że wcześniej tak cię złapałem, ale... – przerywa i się zacina.

Gotuję się ze złości, tak strasznej, że całkowicie zapominam o strachu. Nagle mam nawet nadzieję, że szalenięc po drugiej stronie wyważy w końcu drzwi, a ja z całej siły cisnę w niego ciężką puszką. Rzucę się na niego i będę go okładała, aż przestanie się ruszać. Albo pchnę go, jeśli uda mi się złapać któryś z kuchennych noży...

Wyobraźnia podsuwa mi bardzo żywy obraz, jak by to mogło wyglądać. Nie waham się, oczywiście, że tak bym zrobiła, a myśl o tym

przerazająco mi się podoba. Nie wiedziałam, że najwyraźniej bezradność i marzenia o zadawaniu przemocy są ze sobą silnie związane.

Tyle że dotychczas opór fizyczny na nic się nie zdał. A nawet wręcz przeciwnie. Najwyższy czas zmienić strategię.

– Erik? – Staram się brzmieć, jakbym zaraz miała się rozplakać.

– Tak?

– Mógłbyś włączyć tu światło? Proszę.

– Słucham? Tak, pewnie. Nie wiedziałem, że siedzisz tam po ciemku.

Energoszczędna żarówka ukryta pod tanim kloszem z mlecznego szkła zaczyna mrugać, a potem zalewa pomieszczenie z pełnymi regałami słabym światłem.

Puszka, którą trzymam w dłoniach, rzeczywiście skrywa pomidory bez skórki.

– Tak lepiej?

– Znacznie lepiej. Dziękuję.

Następuje chwila ciszy. Kiedy mężczyzna po drugiej stronie drzwi znów się odzywa, jego głos rozlega się na wysokości mojej głowy. Musiał też usiąść na podłodze. Albo uklęknąć.

– Posłuchaj, Jo. Nie damy sobie rady z tą sytuacją sami. Potrzebujemy pomocy. – Słyszę, że jest wyczerpany. Ale to dobrze. Może niedługo zaśnie. – Chciałbym zawieźć cię jutro do lekarza, żeby nam powiedział, co się stało. Może to stres? Przez kilka ostatnich tygodni miałaś go naprawdę dużo. Albo...

Nie kończy zdania.

– Do lekarza? – pytam cicho.

– Tak, Jo. Zanim twój stan się pogorszy. Gdybym cię nie powstrzymał, dwukrotnie wybiegłabyś półnaga na ulicę. Nie chcę, żebyś trafiła do szpitala psychiatrycznego. Myślę, że mamy już dość problemów.

Zaklina mnie i jednocześnie prosi, ale ja go przejrzałam i dobrze wiem, co się kryje za jego słowami. Zależy mu, żebym uwierzyła, że to ja mam problemy z głową, a nie on.

– Nie potrafisz sobie nawet wyobrazić, jak mnie to wszystko boli – ciągnie. – Jeszcze wczoraj powtarzałaś, że mnie kochasz, a dzisiaj nawet nie pamiętasz mojego imienia.

Jego głos z każdym słowem staje się coraz cichszy i cichszy. Albo rzeczywiście wierzy w to, co opowiada, albo jest świetnym aktorem.

– Jo?

– Tak?

– Kocham cię. Strasznie mi przykro, że to powiem, ale musisz tam zostać przez całą noc. Nie mogę ryzykować, że otworzysz ktoś z okien i zaczniesz wzywać pomocy albo znów spróbujesz mi uciec.

Pewnie bym się roześmiała, gdyby to nie było takie smutne. Sama wybrałam sobie tę celę. Że też musiałam zatrzaskać się w pomieszczeniu, z którego nie mogę nikogo zawołać. Rany, jestem po prostu idealnie współpracującą ofiarą.

– Ja też zostanę tutaj – dodaje po chwili. – Położę się pod drzwiami. Ani na chwilę nie będziesz sama. Gdybyś czegoś potrzebowała...

Milczę i nie reaguję na jego słowa. Mogłam się przecież domyślić, że odetnie mi drogę ucieczki.

Na jednym z regałów trzymam czyste ścierki. Składam je, opieram na nich głowę i zamykam oczy. Drzwi są zablokowane od wewnątrz, więc Erik nie dostanie się do środka. Mogę zaryzykować sen, jednak wir myśli w mojej głowie nie chce mi dać spokoju. Co rusz roztrząsam straszne wydarzenia tego wieczoru, od początku do końca, kawałek po kawałeczku. Nie mogę ich przegonić...

Później – po jakichś dwóch godzinach – wszystkie elementy składają się w całości jasny i zrozumiały obraz. Logiczny w każdym najmniejszym detalu.

Erikowi zależy przede wszystkim na tym, żebym mu uwierzyła. Żebym pomyślała, że to ze mną jest coś nie tak. Po to ściągnął tutaj współnika. Chciał udowodnić, że jego, Erika, obecność w moim domu jest czymś naturalnym i oczywistym. Całkiem możliwe, że w najbliższych dniach powinnam się liczyć z większą liczbą podobnych odwiedzin.

A potem jeszcze kwestia wizyty u lekarza. Kolejny akt, poniekąd, w którym jakiś specjalista da mi wyraźnie do zrozumienia, że brakuje mi piątej klepki. Jestem gotowa się założyć, że tak to zaplanował.

Ale przynajmniej jedną sprawą nie muszę się zajmować ani sekundy dłużej: motywy kierujące moim troskliwym narzeczonym po drugiej stronie drzwi spiżarni są dla mnie zupełnie jasne. Naprawdę nie trzeba zbyt wiele wysiłku, żeby się dowiedzieć, jak się nazywam i kim jestem. A przede wszystkim, kim jest mój ojciec. I wpaść na pomysł wmówienia mi, że jest moim narzeczonym. Może temu facetowi się wydaje, że pewnego dnia w to uwierzę, a wtedy pstryk – i będzie należał do trzeciej najbogatszej rodziny w Australii.

No cóż. Tyle że w tym punkcie Erik nie mógł się bardziej pomylić.

Zwijam się w kłębuszek i próbuję znaleźć pozycję, w której udało by mi się zasnąć. W końcu udaje mi się zamknąć oczy. Teraz przynajmniej nie muszę się już obawiać, że zakradnie się w nocy i poderżnie mi gardło. Martwą córkę miliarda trudno oskubać z kasy.

– Jo? – Pukanie do drzwi. – Już prawie ósma. Za godzinę mamy wizytę u doktora Dussmanna. Właśnie z nim rozmawiałem przez telefon, potraktował nas jako ostry przypadek i przyjmie poza kolejnością.

Regały, konserwy, środki czystości. Przez kilka chwil nie mam pojęcia, gdzie jestem. Potem z brutalną siłą uderza we mnie fala wspomnień z poprzedniego dnia.

– Obudziłaś się, Jo?